

**Katarzyna A. Urbanowicz**

**SIOSTRY KOPCIUSZKA**

© Katarzyna A. Urbanowicz  
[www.fantastykapolska.pl](http://www.fantastykapolska.pl)

redakcja techniczna  
[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)

Ja, giermek wielkiego i potężnego pana, rycerza Toberina zwanego Owłosioną Pałą, doznałem czegoś, o czym będę pamiętał do końca moich dni. Nie sądźcie, że mało w życiu widziałem czy też przeżyłem niewiele z powodu mego młodego wieku; tak sławny rycerz jak mój pan, podobny jest pajakowi tkającemu sieci i trzymającemu końce nici pod opasłym brzuchem. Ci, których przyciska swym odwłokiem, a do nich i ja należą, czują razem z nim drgnienia tej sieci i jak przed naszym panem, tak i przede mną, niewiele rzeczy zdoła się ukryć.

Ubiegłego roku pan mój rozesłał na wszystkie strony posłańców z zadaniem okrytym głęboką tajemnicą. Sekret ten był tak usilnie strzeżony, że nawet najbardziej zaufanych nauczono zdań, które dla nich i dla niewtajemniczonych nie znaczyły nic. Dla tych jednak, którym były przeznaczone, wieści oznaczały jedno: koniec ze spokojnym życiem w odludnych domostwach, z miłymi sercu rozrywkami; trzeba wszystko to porzucić, przygotować wędzone połcie mięsa zwierzokobiet i czekać na sygnał wymarszu. Oznaczało jednak także i wiele przyjemności przedwyjazdowych, a wśród nich największą: wesołe zabijanie domowych człekobiet, wystrojonych na tę uroczystość w różnokolorowe wstążki naszywane na obroże opasujące ich szyje po to, aby jak najwięcej wrażeń przyniosły gonitwy ze sforą zwierzokotów za umykającymi wśród gęstwy lasu kolorowymi błyskami. Oznaczało udźce pieczone w gorzkim dymie obozowych ognisk i to wspaniałe, opiewane w pieśniach poczucie władzy, gdy pozostawione przy życiu człekobiety kornie czołgały się po ziemi, dziękując za parę dni życia. W istocie było to zaledwie kilkanaście godzin, bo w drogę zabierano tylko zwierzokobiety, które jako towarzyszkii podróży zastąpią pozabijane człekobiety, a także stanowić będą pewną rezerwę mięsną na wypadek głodu. Im także powierzano likwidację domu. Człowiekowi zbyt smutno byłoby niszczyć i palić swój dobytek, ale zwierzokobiety nie żywiąc żadnego przywiązania do domostw, dobytku pana ani człekobiet, które w spokojnym życiu spychały je w cień, przyjemniejszymi będąc dla oka i dotyku, nareszcie mogły ujawnić swoją naturę; a czyniły to ku rozrywce swoich panów tak udanie, jak tylko potrafiły. Krótko mówiąc, te wszystkie przygotowania przedwyjazdowe w prawdziwym mężczyźnie wywoływały dreszcz podniecenia, zbliżony nieco do przyjemności najbardziej męskich, których niższe istoty są pozbawione.

Ja sądziłem, że nie zaznam już tej radości. Uderzony w głowę przez mego pana pucharem z okrzykiem – pieprzony giermek – dochodziłem do przytomności na sali, gdzie na podłodze po uczcie, wraz z kośćcami i resztkami potraw leżało nas kilku, choć żaden z pozostałych nigdy już się nie ocknął. Usłyszałem wtedy kilka słów z pośpiechem rzuconych przez niskiego, grubego strażnika z halabardą i przez zasłaniające wzrok na wpół skrzepnięte płyty krwi, zobaczyłem człowieka o ogromnych, świetlistych oczach i usłyszałem jego spokojny, opanowany głos:

– Wydaje mi się, rycerzu, że nasz czas nadszedł. Wokół twojej człekobiety zgromadzili się wszyscy, których możemy teraz jednocześnie się pozbyć. Od miesięcy już wiem, gdzie są kryjówki jej zwolenników, wystarczy uderzyć na nie i przez następne lata wszystko będzie tak przebiegać, jak powinno. Możemy i musimy wreszcie wyprostować bieg historii, ostatnia to już chwila! Tak skrzętnie obliczaliśmy kiedyś wahania prawdopodobieństw! Chcesz to teraz zostawić, jak jest?

Toberin podparłszy ręką brodę popadł w zamyślenie. Człowiek o świetlistych

oczach nie przeszkadzał mu, tak więc w sali zapanowała cisza, w którą wdarło się jedynie przedśmiertne charczenie jednego z giermków. Jakby zbudzony ze snu, rycerz zwrócił się do człowieka o świetlistych oczach:

— Czy pamiętasz, po co w ogóle postanowiliśmy zdobyć władzę? Dawno to było, prawda, ale czy zapomniałeś już, że chcieliśmy zniszczyć barbarzyńskie obyczaje tego kraju? A dziś ja sam zabiłem kilku chłopaków i nie wzruszyło mnie to więcej, niż moich dworzan, wszystkich bez wyjątku urodzonych tutaj... Pamiętasz, jak doszliśmy do wniosku, że należy zaprzestać zabijania obu rodzajów kobiet, bo potrzebne są bardziej, niż mężczyźni? Na wschodzie widziałem gospodarstwa, w których pracowały zwierzkobiety i człekobiety. Tak, dobrze słyszałeś, pracowały! Nie masz pojęcia, co one potrafią robić, jakie są zmyślne, jakie przebiegłe, wszystko po to, żeby ułatwić sobie pracę? Zrozum, one mogłyby przysporzyć znacznie więcej pożywienia niż same zjadły, więcej niż waży ich tusza!

Siedzący na ławie człowiek o świetlistych oczach dziwnie skulił się, jakby słowa rycerza wywołały w nim niemiłe wspomnienie. Toberin ciągnął niezrażony:

– To nie jest takie proste, jak się nam kiedyś zdawało. Powiedz, czy ktokolwiek z tych, którzy słuchali naszych rozkazów, wiedział o co nam chodzi?

– Nie powiedzieliśmy im. I dobrze. Nie mogli nic zmienić, ani wypaczyć. Gdzie indziej tkwił błąd. I nad nim musimy się zastanowić dzisiaj. Trzeba decyzji, cokolwiek by ona oznaczała. Chyba, że potrafisz wrócić...

Gromki śmiech rycerza, tym groźniejszy, że niezrozumiały i inny, niż zwykle, był na to jedyną odpowiedzią. Zapadło milczenie. Z podłogi bił zapach krwi i stygnącego sosu.

Wstrzymałem oddech bojąc się, że pan mój przypomni sobie o mnie i dokończy nieudanego dzieła. Nie mogłem jednak mimo bólu przestać myśleć o jego słowach. Byłoby to możliwe, że to wszystko, co poznaliśmy w życiu, nie było jedynym sposobem rozwiązywania trudności, jakie rodzaj człewieczny przeżywał od początku swego istnienia? Mało, żeby nie było najlepszym ze wszystkich rozwiązań? Używanie zwierząt i kobiet do pracy – cóż to za obrzydliwe pomysły! Czy ktokolwiek zjadłby mięso przyrządzone przez te stworzenia pełne złości, zawziętości i mściwych zamysłów!? Praca jest zaszczytem i nawet niektórzy ludzie na zaszczyt ten nie zasługują! Czy więc nie jest jedynie prawdziwym i najlepszym obrazem rzeczywistości to, co mógłbym ujrzeć, gdybym zdolny był wstać i wyjrzeć przez wysoko sklepione okno...

...Przekupnie przy drodze sprzedają płaty mięsa zwierzkobiet, przyrządzone jak na wojenną wyprawę. Poćwiartowane kawałki, pozbawione ścięgien i kości, rozciągnięte na płaskim kamieniu tak długo tłuczono i miażdżono okrągłymi kamieniami, aż powstawała bezkształtna masa. Natarte sokiem kłaczy, posypane sproszkowaną krwią i żółcią, zawijano w duże płaty świeżo ściągniętej kory z drzewa ba. Rulon, związany ścięgnem lub jelitem, suszono i wędzono nad dymem ogniska, aż zarówno kora jak i jej zawartość skurczyły się w jedną brązową bryłę. Wielkie stopy rulonów łatwo było przewozić lub składować w wykopanych ziemnych jamach. Wyciągnięte stamtąd, wypłukane z przypraw, wymoczone w źródlanej wodzie, stanowiły podstawę przyrządzanych przez żołnierzy skromnych, polowych posiłków. Snujący się w powietrzu aromatyczny dym wędzonki, osiadający na rzęsach i

wargach razem z kropelkami mgielnej wilgoci, oznaczając bliskość wojny, budził do życia każdego mężczyznę, odrywał go od płaskich i przyziemnych codziennych zajęć, przywoływał pamięć przodków, którzy wykuwali kształt obecnego życia, nakazywał dorównać im, a może nawet przewyższyć ich, budować świat według zasad sześciu przeciwieństw świętej księgi Ła. Bo najważniejsza zasada porządkująca wszystko na tym świecie wypływa ze stopnia zawartości życia. I tak: kamień mniej żywy jest od wody, roślina od zwierzęcia, zwierzkobieta od człekobiety, ciało od ducha. Z kolei to, co jest człowiekiem i to, co jest zwierzęciem, składa się z dwóch przeciwstawnych części : żywej i martwej; samce i samice ukształtowane są, by zobrazować te przeciwieństwa, aby dopełniać się wzajemnie. Zawartość życia w mężczyźnie musi posługiwać się przeciwwagą w postaci bierności i braku życia w człe i zwierzkobiecie. Dzięki temu istoty te stanowią naturalne ujście zła, gromadzą i wyrzucają to wszystko, co rasie ludzkiej przeszkadza, a zabijając je, niszczy się pochłonięte przez nie zło. Udowodnił to, gnijący teraz w lochu, mag Zentija sadząc czerwone kule w zatrutej ziemi...

I to wszystko postanowił zburzyć mój pan, rycerz Toberin, po kilku zaledwie słowach zamienionych z człowiekiem o świetlistych oczach, zwanym Strażnikiem Obyczajów, gdy ten oznajmił:

– Właśnie nadeszła ta godzina, w której wszystko możemy osiągnąć, przeciwników naszych omamić, aby nie wiedzieli do czego zamierzamy; zaprowadzić nowy ład, ludziom wskazać inną drogę. Mamy nareszcie pełną władzę. I teraz mamy szansę, bo skrupułów już dawno nie mamy.

– No, prawie mamy – zgryźliwie zauważył rycerz Toberin.

Oprzytomniałem nagle; jak błyskawica zmienia zniecka kolor nieba, tak ja powróciłem do rzeczywistości obejmując ramionami twardą nogę ławy, z ciźmą mego pana wbitą głęboko w pępek, ze skorupą krwi i polewki na włosach. Uświadomiłem sobie, że to, co usłyszałem, jest tak ważne dla naszych losów, że szkoda byłoby mego życia, gdyby nikt się nie dowiedział o tym, co zaszło. Rządzą nami ludzie, którzy sami uważają się za obcych!

Musiałem przeżyć! Nie mogłem być jednym z tych wspaniałych rycerzy ruszających światem na wojnę, oszukanych zanim jeszcze wyszli z domu, ale mogłem ochronić to, co dla ludzkości najważniejsze, naszą drogę od prostoty do komplikacji, od martwoty do życia, drogę naszą, nie cudzą. Poczulem w tej chwili, wypełnionej obrzydliwym, ciepłym bólem, że iskra życia tkwiąca w mojej istocie nie może zostać zaprzepaszczona. Więc choć zalany byłem krwią i na wpół przytomny, otworzyłem swoje ciało dla rycerza i jego przyjaciela, aby obaj kosztując go poczuli wielkość wypełniającą serce mężczyzny, gdy górować może nad innymi i ból tego górowania, gdy wolność rodzi smutek uświadomionej konieczności.

Na świecie był tylko jeden człowiek mogący mi pomóc, na nieszczęście wyłącznie nieświadomie – mag Zentija. On to podtrzymywał niegdyś przez blisko dwa lata płomień życia, ledwie tłący się w śpiącej królownie, żonie mego pana, on jeden spośród dawnych ludzi, nielicznych już, którzy choć wiedli żywot ubogi i trzymeni byli w pogardzie – gromadził w wyschniętym ciele zasoby mądrości przodków. Wrzucono go do lochu wówczas, gdy nie potrafił spełnić jakiegoś żądania rycerza, i od tego czasu zupełnie o nim zapomniano. Nie było trudnym wydostanie

tego człowieka z rąk oprawców, gdy miało się pełną sakiewkę. A tę rzucił mi rycerz, gdy przeszła jego wściekłość. Postanowiłem zostać uczniem maga, odgadnąć, co robić wówczas, gdy mężowie tak sławni, jak rycerz Toberin, rozmawiają z byle oprawcą przyciszonym tonem o sensie ich życia snując zdradzieckie i oszukańcze plany, zamiast czerpać siłę z cierpień dogorywających pod stołem giermków.

Mag szczęśliwy i dumny wrócił do swojego domu, do dwóch człekobiet, pięknych cielsk o długich włosach i tępych oczach, pięknych mimo smukłych nóg, oszpeconych u jednej obciętymi piętami, u drugiej palcami u stóp. Przed laty ich matka na polecenie księcia, któremu te człekobiety nie spodobały się, ponieważ miały zbyt duże nogi jak na trzewiczek, mający stanowić ostateczny wzór kobiecej urody, ujęła siekiere i odrąbała córkom zbyt wystające części stóp. Niewiele im to pomogło, chyba tylko sprawiło, że zachowały życie, bowiem księżę wyciągnął z popiołu jakiegoś kocmołucha o śmiesznie małych stopach i uszach porośniętych sierścią, o palcach pręgowanych i wąsatych u nasady paznokci, którego nazwał „Kopciuszkim” i na którego trójdzielne kopytka pasował przywieziony trzewiczek. Dziewczyny przez wiele dni były bliskie śmierci, ich piękne, jasne włosy poszarzały, a ramiona obejmowały powietrze w męce gorączki, gdy mag Zentija mocą swojej mądrości przywrócił im życie. W nagrodę za to żądał jedynie, aby obnażyły swoje kalectwo, gdy umysł jego zbyt odległe osiągał wyżyny i wymagał sprowadzenia na drogę rzeczywistości i sensu. Dziewczyny poruszały się zazwyczaj na czworakach i temu zawdzięczały całą skórę na tyłkach, poręczniej bowiem jest bić zwierzę o gładkiej i lśniącej sierści niż dziewczynę, przez okaleczenie poruszającą się bez przyrodzonego zwierzętom wdzięku.

Mnie też niewiele trudu zabrało uwolnienie się od służby u rycerza. Na głowie miałem nie gojącą się ranę, z której spływająca ropa ustawicznie zaklejała mi oczy. Poruszałem się z trudem, powłócząc za sobą jedną nogą, a powieka bezwładnie spadająca na oko przykrywała je tak, że palcami musiałem ją podnosić, aby coś zobaczyć. Zaiste, marny to był zaszczyt dla rycerza Toberina, mieć takiego giermka! Rad był chyba, że się mnie pozbył, gdy przyszedłem do niego i oznajmiłem chęć powrotu do domu. Wynagrodził mnie sakiewką, biorąc przyrzeczenie, że gdy zjawi się posłaniec, wrócę na jego znak.

Stanałem przed mistrzem Zentiją jeszcze osłabiony i chwiejący się na nogach, co być może wpłynęło na niespotykaną łagodność mojej mowy. Zamiast żądać, tłumaczyłem mu zawile, czego pragnę i spodziewałem się, że doceni ten zaszczyt podając eliksir przywracający mi zdrowie, ale na to się na razie nie zanosilo. Mag spytał mnie przede wszystkim, dlaczego właśnie jego wybrałem, aby nużyć go pytaniami, podczas gdy mój los o wiele godniejszy jest zazdrości niż los jakiegokolwiek uczonego i że nie ma sensu ciągnąć do pogardzanych dziwaków. Kiedy odpowiedziałem, że moje życie zbyt jest cenne, aby go tracić w walkach i on, który podtrzymywał przez dwa lata jego płomień w śpiącej królewnie, unieszkodliwionej, byłej żonie rycerza Toberina, powinien wiedzieć o tym najlepiej – zaśmiał się pogardliwie.

– Cóż cennego może być w samym życiu? – parsknął. – Tak za życia jak i po śmierci jesteśmy z tych samych składników, które tyle samo kosztują na rynku, bez względu na sposób ich uzyskania. Zresztą ponoć nikt z was, świty rycerza Toberina,

nie ceni zbytńio życia.

– Mylisz się – pouczyłem go. – Pierwiastek życia cenimy bardzo wysoko, ale wiele istot ma go w tak małych ilościach, że wartość ich istnienia musi być bardzo niska. Co do naszego życia zaś, rycerzy i giermków, to oddanie go ma sens o wiele bardziej istotny, niż skłonny jesteś pojąć, ponieważ nigdy nie byłeś wojownikiem. Oddajemy je, jako część wartości życia zabranego innym i taka jest nasza powinność.

Mag popatrzył na mnie w zadumie. – Jak sądzisz – spytał – czym można zmierzyć zawartość życia w człowieku?

– To proste – odpowiedziałem. – Nasz los mierzy ją za nas.

Umilkłem skromnie czekając na pochwałę. Wiedziałem już, że egzaminuje mnie i nie chodzi mu o rzeczywistą odpowiedź, bo ta była aż nadto jasna. Każda forma życia wybija się na wierzch, przeważa nad formą martwą, zwycięża ją. Im kto wyżej postawiony, im ma większe sukcesy, tym więcej życia ma w sobie. Tak nas uczono.

Mag milczał, a ja poczułem, że jego myśli w dziwny sposób zbliżyły się do treści rozmowy podsłuchanej w jadalnej komnacie rycerza Toberina i przez chwilę pożałowałem, że zawróciłem sobie nim głowę, postanawiając strzec się go i nigdy nie obdarzać pełnym zaufaniem.

Zamieszkałem w chacie maga. Czuję się tam obco. Wciąż nie mogłem się przyzwyczaić do widoku okaleczonych człekobiet, poruszających się na ciasnej przestrzeni, stale na naszych oczach. Mag nie obchodził się z nimi, jak inni ludzie z domowymi kobietami, bił je rzadko, nie dręczył zbyt często, ale jego dziwactwa były znane wszystkim. Mimo woli nie miałem mu ich za złe. Obracanie żaren, gdy trzeba czołgać się na kolanach nie osłoniętych niczym przed żwirem podwórka, jest równe mękom najsrozszej chłosty, a nie odbiera życia zbyt szybko, pozwalając nadto dowolnie stopniować siłę cierpień.

Poza przyjemnością zostaje jeszcze misa pełna mąki, choć dla człowieka nie jest zdrowe spożywanie jądła nasyczonego bólem. Zawsze jednak można dać je zwierzętom.

Zajęcia u maga nie były zbyt nużące. Codziennie rano słuchałem jego nauk lub przeglądałem księgi, uczyłem się zbierać zioła i przyrządzać z nich mikstury, ale do najważniejszych tajemnic maga nie miałem dostępu.

Każdego rana do mojej komnaty przychodziła jedna z sióstr przynosząc wodę, przygotowane przez mistrza jadło oraz księgi z zaznaczonymi fragmentami, które zdaniem mistrza powinienem przeczytać przy porannym posiłku. Podczas gdy zajmowałem się tym, człekobieta pieściła mnie sprawnie, co zdaniem mojego mistrza powodowało lepsze zapamiętywanie przeczytanych fragmentów, a także większą przenikliwość myśli. Wynikało to z tego, że ciało podniecane w ten sposób, a nie zaspakajane, wysyła silne impulsy do brzucha, który nim rządzi i wszystko, co w danym momencie człowieka otacza, staje się pełniejsze, wyrazistsze, czemu towarzyszą nowe, zaskakujące i odkrywcze pomysły.

Podczas tych porannych godzin zawsze zajmowała się mną jedna z sióstr, ta z obciętymi palcami u stóp. Zauważyłem to, chociaż były podobne do siebie, jak dwie krople wody, bo o ile na początku rzeczywiście pieczyoty człekobiety dawały oczekiwane przez mistrza efekty, o tyle, gdy tylko wzrok mój padł na jej obcięte palce, wrażenie mijało. Człekobieta nie zastanawiała się widać nad tym, bo

przyjmowała stale jedną pozycję: gdy ja siedziałem na łożu trzymając na kolanach księgę, ona leżała z głową na podłodze u brzegu mojego posłania, aby sięgać rękami i ustami wszędzie i dlatego zawsze spoza księgi i papierów widziałem jej wystającą, kaleką stopę. Pomyślałem sobie wówczas, że powinna mną zajmować się jej siostra, ta z obciętą piętą, ponieważ w tej pozycji kalectwo jej byłoby niewidoczne.

Powiedziałem to bezpalcej, ale nie umiała czy nie chciała mi nic odpowiedzieć poza tym, że pozycji tej w najdrobniejszych szczegółach oraz ruchów, które miała wykonywać, nauczył ją mag i że jej siostrę kształcił także, choć w nieco inny sposób, bardziej dla niej uciążliwy. Tamta starała się bardziej, ponieważ mag obiecał spowodować odrośnięcie jej pięty, bezpalca zaś uważała, że wysiłek siostry zbyt jest wielki, jak na obietnice, w które trudno uwierzyć. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby człowiekowi odrosła utracona część ciała! Gdy poleciłem jej, żeby czasami przysłała bezpiętą siostrę aby pokazała, co umie, odpowiedziała, że na pewno uczyniłaby to chętnie, jako że jestem mniej uciążliwy do obsługi niż mag, który będąc nauczycielem wymagania ma surowsze i urnie karać za brak biegłości, jednak siostra jej w tych właśnie godzinach poddaje się zabiegom maga, zmierzającym do przywrócenia jej utraconych pięt. Ponadto bezpalcej także już pierwszego dnia zdudziło się obsługiwać mnie, więc postanowiły kiedyś zamienić się z siostrą, ciekawą tajemnic mojego ciała, umówiły się nawet wcześniej, jak to zrobią, niestety mag dowiedział się o tym i ukarał je dotkliwie. Zaprowadził je do najbliższego domu sług miejskich i tam przez wieczór zbierał błyszczące monety, dopóki coraz mniej chętnie je płacono, jako że rankiem dziewczyny nie mogły się już ruszać, nie mówiąc o prezentacji nabytych umiejętności.

Bezpalca była gadatliwa, ale z przyjemnością słuchałem jej paplaniny. Pomyślałem sobie, że o wiele ciekawszym byłoby zmusić jej siostrę do przebywania ze mną, dowiedzieć się co za sekrety przekazał jej mag, ale nie było na to sposobu. Uświadomiwszy to sobie zrozumiałem, że bezpięta może dlatego bardziej mi się spodobała, że stawiając nogi na palcach, zdawała się chodzić lekko i płynąć w powietrzu w przeciwieństwie do siostry, która częściej chodząc na czworakach, budziła uczucia niechęci.

Zmuszony poprzestać na tym, co los mi dał, próbowałem skłonić bezpalcą, aby swoje czynności wykonywała zasłaniając kalectwo. Było to jednak niemożliwe, musiałyby trzymać głowę w dół, a więc na moich kolanach, a to powodowało poruszanie się i zsuwanie ksiąg, tym samym utrudniając mi poważne studia.

Zrezygnowałem więc z prób odmiany, jednak nie dawała mi spokoju myśl, że może mag jest rzeczywiście w stanie przyprawić człowiekowi odciętą część ciała, skoro obiecał to bezpiętej i że czyni to za pomocą aparatury ukrytej w tajemniczej, stale zamkniętej komnacie.

Odtąd co południe przyglądałem się człekobiecie idącej po wodę i zauważyłem, że coraz rzadziej opiera nogi na palcach, a coraz częściej staje na całej stopie, a już w ogóle, w przeciwieństwie do jej pozbawionej palców siostry, przestała chodzić na czworakach.

Mag spostrzegł, że wpatruję się coraz częściej w bezpiętą i widać nie spodobało mu się to, bo zgryźliwie zauważył:

– Głupi jesteście, wy giermkowie i rycerze! Nie wiadomo czemu, wydaje się

wam, że postawa wyprostowana oznacza coś lepszego niż łożenie na czworakach, a kopulacja z przodu bardziej przynależy człowiekowi niż inne pozycje.

Miałem ochotę odciąć mu się grubiańsko, a może nawet pobić go nieco, co jak sądzę, przydałoby mu się, bo zbyt już zaczął obrastać w dumę zapomniawszy, co dla niego zrobiłem, ale po namyśle zrezygnowałem z tego. W zamian tylko zażądałem przysłania mi bezpiętej lub nie przysyłania żadnej, ponieważ bezpalca znudziła mnie doszczętnie i miałem już dosyć oglądania jej okaleczonej stopy. Odpowiedział mi wówczas, że powinienem poszukać sobie takiej człekobiedy, jaka mi odpowiada i nie zawracać mu głowy. Niewątpliwie miał rację. Wyszedłem więc na rynek, gdzie zawsze tego towaru było pełno, ale tym razem, niestety, na straganach piętrzyły się tylko rulony tusz, żywych człekobied i zwierzokobied ani śladu.

Przypomniało mi to o wielkiej wyprawie rycerza Toberina, poczułem napływający zewsząd dym z wędzarni mięs i zapragnąłem po raz ostatni być wśród giermków i rycerzy, oddychać z nimi ciężkim i gorzkim powietrzem czającej się wojny, wznosić bojowe okrzyki, polować na człekobiedy, których wstążki migwały wśród gęstwy drzew, przyjacielsko baraszkować z druhami, zwierzokotami.

Poczułem, że muszę wrócić do drużyny, że jest to konieczne, abym poczuł się mężczyzną, człowiekiem, panem świata, który nas otacza. Już dość długo wsączałem w siebie truciznę nauk maga! Czas się od niej uwolnić. Ale jak? Biłem się z myślami cały wieczór, aż w końcu rankiem uchwyciwszy rękami maczugę, zadałem silny cios magowi, zwalniający mnie z konieczności tłumaczenia mu tych wszystkich skomplikowanych rzeczy, które działy się wewnątrz mnie. Po ciosie tym utracił przytomność na co najmniej parę dobrych chwil, więc zostawiwszy go leżącego bezwładnie, płonąca żagwią wyciągniętą z kominka przypaliłem tyłek tej człekobiedy, której czołganie się tak mnie zniechęcało do pobytu u mistrza i mając zamiar uczynić coś równie nieprzyjemnego jej siostrze, dopadłem ją i obaliłem na ziemię. I nagle, ściskając oburącz jej miękkie, zwierzęce ciało, przeraziłem się. Popatrzyłem na jej nogę. Nie do wiary! Miała normalną piętę, jak wszystkie człekobiedy, może tylko bardziej różową, o miększej skórze.

Człekobieda zrozumiała, że zaskoczyła mnie, bowiem opuściła przygotowany już, rozpalony pogrzebacz, którego wcześniej, rozpaskudzony bezpiecznym życiem u mistrza, nie dostrzegłem w zasięgu jej ręki i natychmiast zabrała się do gorliwego wprowadzania w życie nauk mistrza, mając zapewne nadzieję, że w ten sposób ocali się od śmierci lub gorszego losu. Miała rację, ale w momencie, gdy uświadomiłem sobie to, gdy poczułem, że o niebo przewyższa swoją siostrę, postanowiłem zniszczyć jej przewagę nade mną. Pogrzebacz wystygł przez ten czas, a ja byłem unieruchomiony wskutek jej pieszczot tak, że myśl, iż muszę zmienić pozycję, aby sięgnąć po maczugę i tym samym przerwać ciąg doznań zniechęcała mnie. Co innego, gdybym maczugę miał w rękę! Przedśmiertny chwyt umierających palców byłby tym, co może rościć sobie prawo do najwspanialszego doznania, tak jednak znalazłem się w głębokiej rozterce. I wówczas ona, jakby odgadując moje myśli, zawołała:

— To nic, to zupełnie nic! Nie zaznałeś jeszcze Kopciuszka!

Puściłem człekobiedę i kazałem sobie opowiedzieć wszystko o Kopciuszku. Kornie czołgając się po ziemi, opowiadała cuda o umiejętności tej



zwierzodziejczy, a dłonie jej niezdarnie pokazywały to, co podpatrzyła u tamtej. Opowiadała, że nawet ptaki, myszy i drobne zwierzęta ciągnęły do Kopciuszka wiedzione nieprzepartym pragnieniem. Chlipiąc i przepraszając tłumaczyła, że tamta mając podwójną ilość palców i po dwie dłonie u każdej ręki, a także umiając narzucać odmienne rytmy poszczególnym częściom swojego ciała i cicho mrużyć głosem, od którego prężyły się wszystkie włosy na skórze; urodzona jest do sprawiania ludziom przyjemności i jeśli chce, może spróbować dla mnie Kopciuszka odnaleźć.

Nie uwierzyłem, że to potrafi; książkę nie na darmo zabrał ją i wywiózł z tych stron. Bezpieka chciała tylko ocalić życie i plotła oszukańcze bajdy, zasłużyła więc na karę. Ukazanie jej zabrało mi trochę czasu, ale poprawiło mi humor, zwłaszcza, gdy pomyślałem, że mistrz będzie musiał zadać sobie sporo trudu, aby jej z powrotem poprzyprawiać to i owo.

W tym czasie zaczął powracać do przytomności mój nauczyciel, musiałem więc wyjść, jeśli nie chciałem rozprawić się z nim ostatecznie, a taki zamiar nie był moim celem. W końcu i ja, w ostatniej bitwie, do której się szykowałem, aby pożegnać mój los giermka, mogłem utracić kończybę, dobrze było więc wiedzieć, że żyje człowiek, który może ją przyprawić.

Giermkowie rycerza Toberina gotowi byli już do drogi. Wmieszałem się między nich, jakbym nigdy nie przestał być ich towarzyszem, a nadzorcy powiedziałem, że skończyła się moja kuracja. Podejrzliwie sprawdził, jak poruszam nogą, dłonią macał moje ciało, ale przydało mi się to, czego nauczyły mnie siostry Kopciuszka.

Nazajutrz ruszyliśmy na wojnę. Oddychałem pełną piersią, byłem szczęśliwy, jak nigdy przedtem, tylko czasami, gdy pomyślałem, że wybrałem sobie inny los i że do niego będę musiał powrócić, a ta chwila jest tylko ostatnim oddechem przed ciężącym obowiązkiem, ogarniał mnie smutek, zwłaszcza że dotąd nie wiedziałem, co wpłynęło na moje postanowienie i co sprawiło, że nie mogłem mu się oprzeć.

Trzy dni maszerowaliśmy wśród bagien, aż czwartego wkroczyliśmy na ścieżkę, prawie niewidoczną, dzięki maskującym ją zaroślom. U jej wylotu czuwało małe, kosmate stworzenie, pokraczne i brudne. Nie zdążyło jeszcze wydać ostrzegającego dźwięku, gdy powaliliśmy je na ziemię i rozplataliśmy na liczne kawałki, aż pęczki białego futerka fruwały niczym wiosenny dmuchawiec na wietrze. Spozstrzegłem, że stworzenie to miało cztery dłonie i przypomniałem sobie Kopciuszka. Może to właśnie Kopciuszka uśmierciliśmy przed chwilą? Wiedziony nagłą obawą obejrzałem dokładnie wszystkie części stworzenia, ale nic więcej nie wskazywało, że to był on, uspokoiłem się więc natychmiast. No cóż, nie ja to zrobiłem i nie miałem sposobu temu zapobiec.

Ostrożnie zagłębiliśmy się w bagna. Nie mieliśmy pewności, czy futrzaste stworzonko nie zdążyło głosem uprzedzić rebeliantów, kiedy więc nadzorca poddał myśl, że należy puścić przodem nie budzącego podejrzeń wywiadowcę, wszyscy temu przytaknęli. Na mnie wypadł los, choć było to do przewidzenia, bowiem z powodu niedorosłego wyglądu usnąć mogłem czujność wroga. Człękobiety i zwierzokobiety z dziwną głupotą identyfikowały miękkość skóry i gładkość policzków z łagodnością charakteru.

Szedłem przodem, pouczony przez towarzyszy, co robić, gdy spotkam

rebeliantów i jak ich o tym powiadomić. Nie wiedziałem czemu, ale myślałem o czymś zupełnie innym; o tym, że biorę udział w straconym przedsięwzięciu, że cokolwiek uczynię, złe będzie i niesłuszne, że przyczyniając się do zwycięstwa rycerza Toberina, znajdę się wśród oszukanych przez człowieka o świetlistych oczach.

Zamyślony, nie zauważyłem jak załamała się pode mną przemyślna krata, sporządzona z cienkich gałązek przeplecionych, aby nie zwiędły, tkwiącymi w grudach ziemi, ziołami i kwiatami, wskutek czego wpadłem do dołu pułapki.

Towarzysze stali nade mną chwilę, ale nie mając sposobu, aby mnie stamtąd wydostać (żał im było podrzeć i powiązać swoje szaty, a także zbyt uciążliwe wydało się im szukanie i zrąbywanie drzewa, po którym mógłbym wgramolić się na górę) postanowili uczynić ze mnie przynętę. Ukryli się w pobliżu, w zaroślach i chaszczach, nakazując mi wołać o pomoc, aby zwabić rebeliantów, a na pociechę rzucili stęchły bukłak z piersi zwierzokobiety, napełniony tylko w połowie.

Dno dołu najeżone było ostrymi szpikulcami, szczęśliwie jednak, spadając udało mi się trafić między ich rzędy. Ten, kto wbijał ostrza, stał po środku wykopanego dołu i właśnie dokładnie w tą przestrzeń, którą wypełniał swoją osobą, wpadłem, co uratowało mi życie. Niechcący pomyślałem, że rebeliant ten sporządził kołyskę odmierzoną jego szczupłością i gdy próbowałem wyobrazić sobie jego postać, nieodmiennie na myśl przychodziła mi chudziutka figura Kopciuszka, tak sugestywnie opisana przez siostrę, leżącą pod moim ciężarem, gdy błagała o zachowanie jej życia. Byłem pewny, że pułapkę musiała przygotować zwierzokobieta jej gatunku, a myśląc o niej, wyobrażałem sobie palce opatrzone wąsami u nasady paznokci, przyjemności, których mogła dostarczyć i słabłem od tego, jak od odurzającego napoju – choć przecież powinienem być czujny i silny. Czekala mnie walka o życie, podczas gdy towarzysze moi, ukryci w krzakach, mogli pojawić się na ratunek zbyt późno, zwłaszcza że niezbyt się do tego kwapili.

Przyszły mi wówczas na myśl nauki maga Zentiji i wstrząsnęła mną odraza. Nie wierząc, że jest mi jeszcze przeznaczone cokolwiek dobrego, oczekiwałem na bezkształtność śmierci, niepewien, czy uczyniłem dobrze wstępując do gry, która budziła we mnie niechęć poprzez swoją dwuznaczność i oszustwo, ale i pociągała mnie pięknnością starego zwyczaju, wspaniałością panowania nad światem, prawem władcy nad życiem, śmiercią i bólem.

Tylko zabijanie może być dziełem bez żadnej wątpliwości słusznym, ponieważ ono daje radość i nie pozwala się wahać. Dążąc ustawicznie do odnalezienia tej granicy, która dzieli ból od rozkoszy, życie od śmierci, litość od okrucieństwa, nie wolno odcinać się od serc innych ludzi, można bowiem zawisnąć w powietrzu bez żadnego oparcia, jak ja tkwiłem między zaostrozonymi kołkami.

I nagle pomyślałem, że granicy tej nie musi być, że wymyśliliśmy ją wszyscy bojąc się tego, co prawdziwe, tej prawdy jednej i niewzruszonej, że nic na tym świecie nie jest pewne, że pięta może odrosnąć, a palce nie, że ci, którzy panują i ci, którzy są poddani, że waleczni zwycięzcy i pokonani ich przeciwnicy stanowią jedno, a przeniknięcie tej jedności przekracza zdolności każdego z nas, rycerza Toberina, mnie, jego giermka, a nawet dziwnej zwierzokobiety, Kopciuszka. Małe, puchate zwierzę, o wąsach u nasady paznokci, odmiennością swoją odnoszące zwycięstwo

dzięki takiemu, a nie innemu, ukształtowaniu ciała mężczyzny... Jeśli była mądra, inna niż nasze zwierzokobiety, jej ból bliższy musiał być mojemu, ponieważ obca była w tym świecie, w którym przyszło jej żyć, a obcym żadne zwycięstwo nie będzie słodkie.

Leżałem na dnie pułapki całą noc. Rankiem moim towarzyszom sprzykrzyło się czuwanie i postanowili wrócić do mijanej wcześniej wsi, z zagrodą gminnych człekobiet, z których nie wszystkie pewnie zdążono już pozabijać, ponieważ dopiero od naszej drużyny mieszkańcy wsi dowiedzieli się o wybuchu wojny. Druhowie obiecali, najadłszy się i zaspokoiwszy swoje życzenia, powrócić wieczorem i dalej czuwać przy pułapce, a w nagrodę za wytrwałość przyprowadzić mi jakieś stworzenie niezbyt wielkiej postury, mniej lub bardziej przydatne do tego, aby zabawiło człowieka uwięzionego między dwoma rzędami ostrych kołków. Solennie przyrzekli także wystarać się o liny do wyciągnięcia mnie, jeśli nadal bym tego pragnął.

Szczęk ich broni i wesole błyski lusterek na hełmach znikły w oddali, a ja poczułem się tak samotny, jak nigdy. Próbowałem pocieszyć się słowami świętej Księgi Ła, ale nie osiągnąłem ulgi w ustawicznym ich powtarzaniu, mimo że wspomagałem je ruchami i czynnościami zaleconymi rytuałem, a ciało moje odpowiadało na te znaki, bowiem zabrakło przy mnie drugiej istoty, której zabierając życie, rozładowałbym tkwiące we mnie napięcie.

Musiała sterczeć i patrzeć na mnie już od dobrych kilku chwil, zanim ją zauważyłem. Tak zlewała się z tłem, że nieruchomą trudno było dostrzec, gdyby nie to, że obecność jej wyrażała się poprzez powiew obcości, jeżeli ktokolwiek umnie określić, co to jest. Ja, może poprzez wrażliwość nabytą wskutek przebywania na krawędzi życia, mógłbym przysiąc, że w powietrzu zawirował dobrze znany, zapomniany przed laty zapach, ale czym on był stanowiło zagadkę. Chyba niemowłębem po raz pierwszy go poczułem, wiedziałem jednak, że łączy się z pierwszym dziecięcym strachem i bólem i dlatego oznaczał dla mnie wrogość.

Była starą człekobietą z zastygłym wyrazem martwego spokoju w okrągłych oczach, nad którymi rysująca się powłoka ciemnych brwi, czyniła ją podobną do niektórych zwierzokobiet. Nieuchwytny cień rozczarowania przemknął w mojej myśli, bo może niezbyt jeszcze sprawny wskutek przebytych ran, wyobraziłem sobie, że właśnie Kopciuszek będzie tym, kto mnie uwolni; ale rozczarowanie to ustąpiło natychmiast miejsca radosnemu zadowoleniu. Wiedziałem już, co dalej będzie: człekobieta oswobodzi mnie i zaprowadzi do swoich. Tak czy inaczej, za to rozczarowanie, że nie jest Kopciuszką, odwdzięczę się należycie. Zameczenie jej będzie prawdziwą przyjemnością: jeszcze nigdy nie zabijałem starej kobiety, takie nie dożywały wielu lat, ale jeśli się trafiły, miały w sobie tyle dziwnych cech i podniet. Skoro dożyły swoich lat, musiały być mądrzejsze i stanowić godniejszego przeciwnika.

Tymczasem człekobieta milczała. Nie było nic dziwnego w tym, że nie spieszyło się jej do własnej śmierci, czułbym się źle, gdybym ją poganiał. Jej to przypadnie zaszczyt uratowania mi życia, niech więc i ona ma z tego choć trochę radości w odroczeniu umierania. Byłem dumny z siebie i wierzyłem, że cały świat śpiewa w takt mojej pieśni.

Odczekałem może z pół godziny, ale człekobieta nie odezwała się . Postanowiłem więc przemówić pierwszy.

– Daj mi pić – rozkazałem.

Podniosła się posłusznie, podreptała gorliwie i za chwilę wróciła z bukłakiem pełnym wody . Zbyt szybko i potulnie to zrobiła, postanowiłem więc sprawdzić, dokąd sięga jej posłuszeństwo. Odtrąciłem naczynie i z udanym wstrętem powiedziałem:

– To mogą pić tylko takie stare pokraki jak ty. Prawdziwy mężczyzna nie weźmie do ust byle pomyj!

Wstała skwapliwie i za chwilę na lince, w dół spłynął gąsiorek pełen wina z krwi zwierzokobiet. Rozczarowałem się. Czyż buntownicza może posłusznie przynosić napój z krwi i żółci jej sióstr bez drgnienia powieki? To ich religią i najważniejszym żądaniem wobec księcia było zaprzestanie zabijania człekobiet, a ograniczenie mordy zwierzokobiet wyłącznie do okresów głodu! Chyba, że nie była buntowniczką, tylko zwykłą, wytresowaną, domową zwierzokobietą. Zasłużyła więc tylko na jedno machnięcie kijem, nie więcej.

Mimo woli rozczarowanie musiało odbić się na mojej twarzy, bo bacznie we mnie wpatrzono oczy zamrugały kilkakrotnie, a zwierzokobieta zachichotała, jakby oczekiwała tego zdumienia.

– Smakuje ci rycerzu? – spytała przymilnie. Zapewne przekonałeś się, że napój z krwi mężczyzn równie posilny jest jak ten, który sporządzony został z krwi zwierzokobiet. Kiedy przyjdzie czas, utoczę nieco twojej krwi i ona uzupełni ubytki moich zapasów.

Gdyby była bliżej mnie, rozciągnąłbym jej starcze, wstrętne ciało między tymi kołami, gdzie wskutek dziwnej ironii losu, ja musiałem tkwić i wymyśliłbym coś specjalnego na jej udrekę, ale nawet nie mogłem dosięgnąć jej wzroku, ginącego w ciemności. Nie chciałem się poniżyć bezsilną wściekłością, milczałem więc i czekałem na moich druhów, ale oni nie nadchodzili...

I dziwna rzecz – odechciało mi się nagle zemsty nad tą kobietą. Zapach, który przypląnął razem z nią, przynosił wspomnienie innego zapachu... Pełzałem po zimnej i wilgotnej ziemi wyłożonej mechatymi liśćmi ślepucha, a matka moja chlusnęła cuchnące ojcowskim potem i dymem wędzonki mydliny z cebrzyka daleko na śmietnisko, zakryte długimi gałęziami srebrzystej wierzby. Mydliny opłynęły witki, budząc w nich słoneczne lśnienia nawet tam, gdzie wieczny cień nie dopuszczał promieni. Mydlane bańki użyczyły ich skazanym na mrok łodygom. Nieproszone piękno wdarło się do mojego świata. Zapach mydlin zakołował w powietrzu i z daleka dobiegł mnie szmer strumyczka. Matka wsłuchana w jego ciurkanie zastygła, ogromna i przerażająca pośród gałęzi zwisające wierzby, odrzuciła nagle wiadro nie bacząc, że pałak zaczepił o skraj kamiennych schodków, strącając z nich ustawione rzędem do wyschnięcia dzbany, rękami uchwyciła śliskie gałęzie i okręciwszy nimi siebie niczym włosami, dłońmi ścisnąwszy pęki twardych różeg, przysiadła na piętach, a zza zasłony smukłych witek dobiegło jej wycie.

– Wszystkie moje następne dzieci wyrzucę na śmietnik! Przykryję gnojem i stertami pokrzyw, niech nigdy ciała mojego nie szarpie wstręt do tego, co uczyniłam! Czemu rozkosz rodzi te rodzaje obrzydlistwa, których przegnać nie umiemy? Czemu

nie możesz zaczekać, mój brzuchu, na lepsze dla rodzenia czasy? – szlochała, a ja, raczkujący wśród mydlin i rozbitych dzbanów, poczułem nagle mimo swojej bezbronności, a może właśnie wskutek niej, że gdyby potrafiła i chciała spełnić swoją groźbę, ja też znalazłbym się na tym śmietniku. Przestraszyłem się bardzo, nie umiałem się przecież bronić, ale zapach mydlin niósł ze sobą groźbę i wiedziałem wiedziony dziecięcym przeczuciem, że coś musi się stać, aby przywrócić zakłócony porządek zdarzeń. I jakby przywołany moimi myślami, zza drzwi wyskoczył mój wspaniały ojciec z naostrzoną siekierą i odrąbał matce głowę razem ze smukłymi witkami srebrzystej wierzby. Długo potem zwisały przycięte gałęzie tworząc bramę podobną grzywce na czole rycerza, ale brama ta nie prowadziła do jego twarzy i oczu, ale na śmietnik. Jesienią gałęzie uschły i nie ożyły z wiosną, wtedy jednak ciało mojej matki, ciśnięte na śmietnik obok cebrzyka i innych skażonych rzeczy, których w dniu śmierci używała, zgniło, podobnie jak wszystkie inne domowe odpadki.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się, że mój starszy brat zabił pierwszą w życiu człkobietę i to tak wpłynęło na moją matkę. Nie daje to jednak żadnej człkobiecie praw do decydowania o poczętym życiu potomstwa, które sprowadziła na świat, nawet sama myśl o zabójstwie niewinnego, męskiego płodu jest zbrodnią tym wstrętniejszą, że przysze szanse człowieka niszczy stworzenie prymitywne i głupie, dla którego własna wygoda jest jedynym prawem. Słusznie więc została ukarana moja matka, ale zapach mydlin, który ją przywołał ostudził we mnie chęć zduszenia tej wstrętnej istoty, która zapewne była drugą stroną Kopciuszka, tę amoralną i podłą, nie liczącą się z żadną ideą, nie osłodzoną nawet żadnym oszustwem.

Wkrótce obok człkobiety pojawiły się inne. Niczym cienie, przebrane w strzępy mat, skór i innych płacht zbędnych w gospodarstwie, snuły się wokół dołu mocując do pobliskich drzew pęki lin. Świt nieco rozjaśnił niebo, z bagien wstawała chłodna mgła, drzałem więc na całym cieple, choć los mój zaczął mi nagle być dziwnie obojętny. Patrzyłem na cienie poruszające się we mgle ± dopiero kłęb siatki, zrzucony prosto na moją głowę, zbudził mnie z zadumy. Ostrożnie uczepiłem się plecionki, przybierając pozycję na tyle wygodną, na ile pozwalał mi ograniczony zasięg ruchów i zorientowałem się, że siatka rusza w górę. Dopiero teraz zrozumiałem jak osłabione są moje mięśnie. Musiałem użyć całej swojej siły, żeby utrzymać się oczek, bowiem okazało się teraz, iż źle wyczułem położenie siatki i miałem znaleźć się wewnątrz kokonu, zawisłem uczepiony na zewnątrz niczym ogromny, ciężki pająk, pozbawiony sił ze starości. Tylko ogromnemu szczęściu mogę zawdzięczać, że w końcu, gdy osłabły siły i puściłem sieć, noga moja zaplątana w jej oko i przypadkiem ściśnięta w skrzyżowaniu dwóch lin, których końce uczepiono w dwóch przeciwnych krańcach dołu, pozwoliły mi nie spaść na ostrza kołków.

Kobiety, ucieszone widąc swoim wyraźnym sukcesem, nabrały wigoru, zapominając na chwilę o dręczącym ich zimnie i podskakiwały klepiąc się dłońmi po cieple, nie wiadomo z emocji czy dla rozgrzewki. Gdybym był nieco silniejszy, zdołałbym roztrącić kilka z nich i pobiec groblą z powrotem, ale zaledwie o tym pomyślałem, któraś z nich odgadła zapewne, co może mi przyjść do głowy. Bezceremonialnie chwyciły mnie i zepchnęły z grobli w bagno, zręcznie zarzucając na szyję kawał zapętlonej linki. Jedna z kobiet wskoczyła za mną i zanim pojąłem,

dlaczego bagno wciąga mnie, a nie tyka jej, zmęczyłem się do szczętu, zużywając na bezsensowną kotłowaną resztki sił. Dziewczyna poprawiła pętlę tak, że przebiegając pod moją pachą nie mogła mnie udusić, po czym pływała dookoła mnie, śmiejąc się i pokrzykując. Tymczasem ja, próbując utrzymać pionową pozycję, pograżałem się dopóty, dopóki maź nie zaczęła sięgać podbródka; wówczas człəkobieta szarpnięciem liny dawała znak towarzyszkom, że trzeba ją trochę podciągnąć.

Nie była to rozmyślna tortura. Po prostu czekając świtu ten sposób zapobieżenia mojej ucieczce uznały za najwygodniejszy i bawiły się nim ciągle wymyślając coś nowego. Na szczęście świt był już tuż tuż i człəkobiety, którym zapewne też zrobiło się zimno, wyciągnęły mnie na groblę. Nie czekając aż obetrę się z oblepiającego mnie błota, pchnęły na ścieżkę prawie niewidoczną wśród bagien, której początki znaczyły kamienie ustawione poniżej obwałowania, porośnięte gęstwą mchu i żurawiny. Pokrywa błota na moim ciele w promieniach słońca schła szybko powodując bolesność każdego ruchu, gdy włosy porastające ciało, uwięzione w skorupie, naciągały i tak już obolałą skórę, ale chmary brzęczących owadów zniechęcały do zmycia z siebie tego błota.

Podobnie jak i ja wyglądały kobiety, które mnie pojmały, tak że nawet teraz, w promieniach słońca, niemożliwym było rozróżnienie ich ciał, wieku i rysów i pomyślałem wówczas, że nawet zwierzkobiety od człəkobiet nie różnią się tak bardzo, jak myślałem; pokryte skorupą błota są podobne do siebie, a i jak podejrzewałem, w ich gromadzie z dala nikt nie poznałby we mnie mężczyzny.

Słońce stało już wysoko, kiedy doszliśmy na miejsce. Przed nami ukazała się przestrzeń równa może połowie wsi, pokryta dachem podobnym pajęczynie, zwieszającym się z gałęzi rosnących wokół drzew. Pod kopułą znajdowały się normalne domy, może tylko nieco mniejsze, choć staranniej wykończone. Ta zasłona nad dachami, która wielkością oczek przypominała niektóre luźne tkaniny, mogła mieć tylko jeden cel – ochronę przed dokuczliwymi owadami. Zastanawiało mnie, z czego tę siatkę uczyniono. Tak ogromne ilości materii stanowiłyby bez wątpienia majątek, jakim nie mogły dysponować uciekinierki i buntowniczkki z bagien. Zagadka wyjaśniła się, kiedy ująłem w rękę fałdę tej tkaniny, luźno rozpiętą między dwoma niewysokimi brzózkami, stanowiącą wejście do wioski. Były to po prostu liście drzewa ba, ogromne liście, w których gąsienice pracowicie wygryzły przestrzenie między żyłkami tak dokładnie, że powstały płachty o otworkach uniemożliwiających dostęp kąśliwych owadów. Liście pozszywane były brzegami, starannie, drobnymi ściegami włókien.

– Jak im udało się zmusić do takiej pracy bezmyślne robaki – pomyślałem wbrew sobie z podziwem. Kiedy później ujrzałem kobietę maczającą gotowe płachty w wielkim, płaskim cebrzyku, napelnionym gęstą cieczą i przyczepiającą je do przeciągniętych między drzewami lin plecionych z łyka, podczas gdy druga skórzanym miechem wdmuchiwała powietrze wprost na płachty, odgadłem, że powodem tego jest konieczność przedmuchiwania dziurek, które mogłyby zostać zalepione przez impregnującą ciecz i że z jej zastosowania pochodzi niezwykła wytrzymałość.

Dziwne, z takim sposobem ochrony przed owadami nie zetknąłem się nigdy,

choć był on przecież tak prosty! Jak niespokojne wspomnienie przebiegła mi przez myśl rozmowa podsłuchana pod stołem rycerza, ale odepchnąłem od siebie cień słów, ponieważ były, musiały być niesłuszne.

Tymczasem człəkobiety rozpoczęły wrzaskliwą rozmowę, a sens jej dopiero po kilku chwilach stał się dla mnie jasny. Wybuchnąłem śmiechem. Okazało się, że w wiosce nie było żadnego miejsca, w którym można by mnie zamknąć, niczego, co nadawałoby się na więzienie! Niepotrzebnie rycerz Toberin i jego otoczenie martwiło się powstańcami. Takich jak one, zawsze łatwo zgnieść i zadławić, skoro nawet nie bardzo wiedzą, co uczynić z pokonanym wrogiem i jak bezpiecznie go przechować. Po co w takim razie urządzały pułapkę?

Obrzuciłem rajcujące człəkobiety pogardliwym spojrzeniem i usiadłem na ziemi. Nie było zbyt trudno uciec stąd, nawet w tej chwili. Zapamiętałem, o ile mogłem, drogę przez bagna. Sam dziwiłem się sobie, co mnie tu trzyma. Może ciekawość co te istoty wymyślą, może strach przed drużyną... Powrót do rycerza Toberina z niehonorowej niewoli bez wiadomości o wrogach był niepotrzebnym narażaniem się...

Znudziło mi się siedzieć, więc ruszyłem w kierunku wejściowych płacht wolno i spokojnie, w głębi duszy bojąc się, że odejścia mojego nikt nie zauważy.

Pojawiła się nagle i choć wygląd jej odbiegał od tego, co słyszałem, zrozumiałem, że to właśnie ona jest Kopciuszką. Trudno ją opisać, a jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, czy była ładna czy brzydka. Nie gładka i nie okrągła, ale nie miała też wąsów u nasady paznokci, a kopytka jej nie o wiele były mniejsze, niż stopy nieszczęsnych sióstr. Była zupełnie naga, ale nagość jej nie budziła pożądania, choć patrząc na nią, odczuwało się głuchy ból, jakby nagle przyszło nam zrozumieć, że jest kimś o wiele lepszym od nas wszystkich i że porozumienie, którego bezsensownie zapragnęliśmy, z góry skazane jest na niepowodzenie, jakby po to tylko powstało nasze pragnienie, abyśmy, perfidnie ukarani, w chwilę potem marzyli już o cofnięciu się choćby o pół sekundy, zanim pragnienie to powstało.

Mimo to zrozumiałem, dlaczego ujrzawszy ją, księżę mógł objechać pół świata, aby z powrotem Kopciuszka odnaleźć i sprowadzić do domu. To, co gonilo za nią i zmuszało we wściekłości do podejmowania wojennych czynów nie było pożądaniem, a chęcią panowania, choć myśl o rozciągnięciu na ziemi tej istoty mogła bardziej przerazić niż cokolwiek innego.

Dziewczyna przysiadła na piętach, rozchylając nieco uda i zobaczyłem, że skóra na nich marszczy się nieco i zmarszczki te rozżaliły mnie jeszcze bardziej, jakby były kolejnym dowodem, iż coś, co normalnym ludziom tak bardzo jest podobne, stanowi tylko piękne złudzenie, gorzkie i smutne.

– To ty jesteś Kopciuszku? – spytałem.

Skrzywiła wargi, nie w uśmiechu i nie w drwinie, ale poczułem bijącą od niej siłę.

– Jest nas dużo kopciuszków. Którego masz na myśli?

Na to nie byłem przygotowany. Zaniemówiłem. Potem plotłem coś o mrówkach, które przebierały mak, a może o ptakach, o pszczołach krążących nad głową właściwej dziewczyny, aż przerwała mi.

– Jeśli o to chodzi, jestem Kopciuszkiem.

Ochłonąłem nieco i ciągnąłem już śmieiej:

– Po co mnie tutaj przyprowadziłyście? Co chcecie ze mną uczynić? Czyż nie prościej wrogów zabijać?

Nie odezwała się do mnie już ani słowem. Siedziała za skrzyżowanymi nogami, nawet nie patrzyła na mnie, ale byłem pewny, że chciała mi powiedzieć, iż wrogów trzeba chwycić i przekonywać, a nie zabijać. Nie mówiąc nic, twierdziła, że należy nimi potrząsnąć jak drzewem ba, aby spadły zeń na ziemię owoce, wówczas drzewo pozbawione pasożytów czerpiących z niego siłę, pręży się, prostuje i znowu jest tym, kim powinno być – drzewem ba. Zrozumiałem tę przenośnię ze wszystkimi jej rozgałęzieniami i pobocznymi sensami tak, jakbym sam nagle poczuł się drzewem ba, które rozumiało, po co jest; pojęło, że owoce są celem chwilowym, że zmieniają się stale na następne i kolejne, a drzewo ba istnieje dalej, bo jego cel jest ważniejszy od owoców i wszystkiego innego...

Zamarło mi na ustach przygotowane wcześniej pytanie: – Podobno pieaszczoty Kopciuszka przypawiają o doznania tak wspaniałe, że niewielu ludzi jest w stanie je zapomnieć, więc czemu siedzisz z tymi buntowniczkami, zamiast wykorzystywać swoje umiejętności tam, gdzie mogą ci przynieść korzyść?

Roześmiała się choć pytanie nie zostało zadane:

– Czyż cokolwiek może przynieść nam korzyść w świecie przez was zbudowanym?

Odeszła, a ja wiedziałem, że sam już z własnej woli nie opuszczę tego miejsca, nawet gdyby mi zdjęto więzy. Zdziwiony pozbawioną jazgotu nagłą ciszą, popatrzyłem na kobiety i pojąłem, że one też to wiedzą, bowiem przestały sprzeczać się, jak mnie uwięzić i odeszły spokojnie do swoich spraw. Nie były więc tak nieprzygotowane na przyjęcie pokonanych przeciwników, jak sądziłem.

Głucha nienawiść do Kopciuszka wezbrała we mnie niszcząc tę część jej uroku, która wydała mi się warta uwagi. Było niesłychaną podłością ze strony tych buntowniczek krępować człowieka już pokonanego dodatkowymi więzami, podłe i sprzeczne z zasadami moralnymi wykładanymi przez mędrców. Czyż nie uczono nas, mężczyzn, wieki całe życia godziwego, które w społeczeństwie naszym owocowało ładem i bezpieczną pewnością, jaką daje tylko przekonanie o słuszności swego postępowania? Każdy musi znać swoje miejsce – wówczas będzie bezpieczny. Tylko tyle i aż tyle.

Ogarnęło mnie zniechęcenie. To, co wydawało się oczywiste i nienaruszalne, zdrzało. Trucizna rycerza Toberina zaczynała działać.

Nie ujrzałem już Kopciuszka. W miarę, jak upływały dni, moja chęć zemsty zmieniała się w nieodparte pragnienie spotkania jej i obłądne pożądanie rozmowy. Pragnąłem zobaczyć ją tylko po to, żeby skłonić do wysłuchania tego, co mam do powiedzenia, przekonania jej, pokonania moimi argumentami, chociaż... Niezliczone razy wołałem do buntowniczek, błagałem, aby zaprowadziły mnie do Kopciuszka, ale przecież nic nie miałem oprócz błagalnego wołania, nieartykułowanego. i wstrętnego, jak ryk zdychającego zwierzęcia. Czasami, wbrew sobie, zdawało mi się, że to ona wiedziała, co jest słuszne i jej powinieniem wysłuchać. Wszystko wtedy stanie się proste i jasne, a ja osiągnę spokój. Zapomniałem już o jej palcach z wąsami u nasady



paznokci, o tym wszystkim, co opowiedziała mi człekobieta maga Zentiji; przed oczami miałem z postaci Kopciuszka tylko tę zmarszczkę na udzie, którą opływał dym ogniska i ona wydawała mi się najważniejsza, jawiła się kluczem do sensu wszystkiego tego, co z powodu Kopciuszka przeżyłem.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi i nie zatrzymywano już mnie, mogłem więc chodzić wszędzie. Wielokrotnie obszedłem teren wioski, wychodziłem także za zasłony z liści, ale gdy tylko oddaliłem się od osady na niewiele nawet kroków, przekonanie, że zostawiłem za sobą Kopciuszka, gnało mnie z powrotem. Kilkakrotnie spenetrowałem wszystkie szalasy, zajrzałem w każdą dziurę i pod każdą matę, bez rezultatu... Mimo to czułem obecność Kopciuszka tak namacalną jak nigdy, z każdym dniem coraz bliższą. Zdawało mi się, że gdybym nagle odwrócił się, Kopciuszek znalazłby się w moich dłoniach, z których nie było już ucieczki. Jak zmusić Kopciuszka, aby wróciła?

Próbowałem dowiedzieć się tego od człekobiet z obozowiska, ale uśmiechały się tylko i odchodziły w bok z nieskrywaną niechęcią. Zrozumiałem, że choć szanowały i ceniły Kopciuszka, wcale jej nie lubiły, że uważały się za młodsze i ładniejsze i nie bardziej niż ja, rozumiały jej moc. Jednak będąc z natury i konieczności przysposobione do walki o życie i przetrwanie, wszystko, co przychodziło z zewnątrz, przyjmowały za prawdziwe; nie próbowały szukać uzasadnienia. Wiedzę swoją wykorzystywały, jak umiały, do opanowania nieznanego, a przynajmniej do wyciągnięcia z niego najdrobniejszych nawet korzyści. Kopciuszek był potrzebny buntowniczkom, ale do czego one mu miały posłużyć...?

Kiedy wszystkie próby zobaczenia się z Kopciuszkiem zawiodły, a moje pragnienie zbyt już było silne, żeby pozwolić mi żyć, odgadłem, jak wezwać ją i zmusić do pozostania. Przedtem leżałem dzień cały w dłoniach zaciskając garście trawy, z głową zanurzoną w gorzko pachnący mech, aż wreszcie wstałem oblepiony zeschniętymi szczątkami nasionek, tkwiących na długich, sztywnych łodyżkach.

Kazałem jednej z kobiet przynieść dzban, wyplukałem go w źródlanej wodzie i położyłem ukośnie podpierając brzusec zwiniętym kłębem liści. Nie chciałem umierać w brudzie i niechlujstwie, więc oczyściłem teren przylegający do mojego szalasu i posypałem go świeżym piaskiem. Kobiety nie wiedziały do czego się sposobie, jednak nieznanym nam zmysłem widać przeczuły, jak przeczuwają zawsze rzeczy ważne, choć ich nie rozumieją, że to, co zamierzam, istotne jest dla wszystkich i z własnej, nieprzymuszonej woli postanowiły uświetnić uroczystość, o której, żadna nic nie wiedziała, poza tym, że będzie uroczystością. A ja, wbrew początkowemu przekonaniu, postanowiłem nadać ceremonii oprawę stosowną do ważkości mojego postanowienia. Ze spokojem patrzyłem, jak zamieniły zwykły, wcześniej przyniesiony dzban na inny, bogato zdobiony, owinięły go śnieżnej białości chustami, skropiły wyciśniętym sokiem bagiennego kwiatu zwanego śmiertelnym. Jedna z nich przyniosła czerwoną wstążkę, chcąc udrapować białą tkaninę owiniętą wokół dzbana, ale starsza wyrwała ją gestykułując namiętnie, a ja odgadłem, że obydwie instynktownie знаły dysonans, niepożądaną przeszkodę konkretnie tej wstążki wobec namacalności prawdziwej krwi. Czerwony skrawek maciłby przewidywany mgliście obraz, a i mnie to zobowiązywałoby silniej niż wszystkie przysięgi. Kto z nas odgadł, do czego zmierzamy? Ja, czy może one?

Postanowiłem utoczyć dzban pełen swojej krwi, Wiedziałem, że jest to jedyny sposób, aby zadziwić i wezwać (albo wyzwąć) Kopciuszka. One nie pojmowały tego, będąc zwierzętami i kobietami jednocześnie, ale obeznane z magią kolorów wiedziały, że z czerwonym łączy się białe... Dlaczego Najwyższa Istota ze złośliwą przewrotnością dała tym istotom, a nie nam, mądrym i świadomym, wycucie sensu kolorów?

Może jeszcze mógłbym się rozmyślić, ale skłoniony wspaniałą oprawą uroczystości, którą nieznanemu sobie przedsięwzięciu nadały te błotne istoty, nie mogłem już się cofnąć; ba, nie chciałem. Pozostało mi tylko jedno – dostosować się. Dostosować się – i być przywódcą. Tu czy *tam*, obojętnie.

Rozesłałem białe płótno na piasku i zrzuciłem odzież Kobiety, nawykłe widać do celebrowania uroczystości, przyciągnęły wielką kadź, napełniły ją gorącą wodą i obmyły moje ciało. Jedno z nielicznych dzieci w obozie, mała dziewczynka prowadzona wcześniej za rączkę przez matkę, biegała wokół kadzi, trzymając w ręku porzuconą, czerwoną wstążkę, Niespokojne kobiety, mimo to poważnie traktując nieświadomą wszystkiego dziewczynkę, machając ową nieszczęsną wstążką, dla której obawiano się znaleźć należyte zastosowanie, biły się widocznie z myślami, aż wreszcie zdecydowały się ów widomy znak, przemawiający przez niewinne dziecko, wykorzystać. Zabrano dziewczynce wstążkę, zwinięto ją na palcu, położono na kamieniu i przysypano warstwą popiołu. Któraś z kobiet, rozejrzawszy się dorzuciła do kupki zeschnięte liście, inna zaś pęk swoich włosów, obciętych tęnym nożem, następna zaś, jakby licytując się z poprzedniczką, przekonana, że tamten gest nie kosztował zbyt wiele wyrzeczeń, wyrwała siwe pasma włosów garściami, wyjąc z bólu, ale kląb, który dorzuciła, widocznym był dowodem, że o wiele więcej dała z siebie części swojej istoty, niż jej, mniej cierpiąca poprzedniczka...

Stos rozmaitych przedmiotów rósł na kamieniu, a ja wiedziałem, że teraz już Kopciuszek, przywołany czarami wyrosłymi z głębi tych istot nie może zawieść. Sprzeniewierzyłby się swemu powołaniu, gdyby zawiódł...

Odtąd i ja zająłem należne sobie miejsce. Tylko ścisłe podporządkowanie się rytuałowi, który na moich oczach się tworzył, mogło zapewnić mi szansę, sukcesu. Zrozumiałem, że tylko idąc z innymi, choć skwapliwie wychodząc im naprzeciw, można osiągnąć spokój i przekonanie o słuszności tego, co się czyni. Jeżeli tylko to miało być ceną za starczą zmarszczkę na udzie Kopciuszka, to trudno. Tylko to jedno dawało mi szansę odnalezienia się w ogarniającej zewsząd człowieka nienawiści, tylko to jedno godziło pragnienie z przekonaniem o słuszności. Nie było innej takiej rzeczy. Nie było.

Oстрыm nożykiem naciałem żyły na swoim nadgarstku, okazałem odsłonięte ręce tym, które mnie otaczały i które coraz bardziej były mi obojętne, choć zawsze nienawistne... Odtąd żyjąc w ich środku w rytm ich przekonań, będę przeganiać swoje myśli, uprzedzać ich postanowienia, ucieleśniać ich ból, biorąc go na siebie wraz z odsłoniętą zmarszczką na udzie Kopciuszka.

Piękne słowa płynęły z moich ust, nikt by nie sądził, że ongiś mogłem być giermkim rycerza Toberina, branym w posiadanie mimo zasłaniającej oczy czerwonej płachty krwi. Słowami tymi niszczyłem wszystko, co było poprzednio, wierząc że nadchodzi najwspanialsza chwila mego życia i jego zwycięstwo. Na

pohybel temu zdrajcy, rycerzowi Toberinowi!

Utoczyłem pełen dzban swojej krwi i słabnącymi. rękami podałem go jednej z buntowniczek Zgarnąłem z kamienia na ziemię kupkę przykrywającą czerwoną wstążeczkę, rozwinąłem ją, zwilżyłem krwią i starannie zawiązałem w miejscu, gdzie moja męskość odróżnia ludzi od zwierząt. Kobiety czołgały się, niczym węże w piasku rozsypanym przeze mnie, krzycząc, płacząc i drąc włosy, a ja wiedziałem dzięki temu, że na pewno pojawi się Kopciuszek, by ukoronować uroczystość, sprawić, że sens moich i cudzych czynności, tak zda się na pozór instynktownych, będzie tłumaczony przez wieki, interpretowany na rozmaite sposoby. Powstaną sekty i odszczepieńcy. papieże i antypapieże; papieżyce i wężyce; dżdżownice, komary opite krwią, pająki spadające zniecka na miękkie, układające się do pocałunku wargi, wampiry wczepiające się w okrwawioną szyję. Gdy ból w jedno łączy się z pragnieniem, przeistacza cały ten świat, nad którym. przestałem kiedyś panować, będąc człowiekiem z krwi i kości. Począłem więc go zdobywać, przystosowując się do nieznanych sił, kierujących tym wszystkim, co jawi się w naszym świecie w myśl świętej. księgi Ła, i jak nauczał mag Zentija, że świat nie powinien być ujmowany jako zespół gotowych rzeczy, lecz jako zespół procesów, w których rzeczy pozornie niezmiennie zarówno jak ich odbicia myślowe przechodzą nieustanną zamianę, stawanie się i zanikanie.

– Kopciuszku, racz pochylić się nad czarą, a moja krew zmieni się... – (W co się może zmienić moja krew?... W topiony tłuszcz... W wodę... W piwo... W wino?...) Wstążka. była. czerwona.. Krew, krew! Krew opływa świat. ona jest przyczyną rozkoszy i śmierci, ona sprawia, że albo utoczę swoją krew dla Kopciuszka, albo ona będzie zmuszona, wiedziona marzeniem tłumu, swoją krew oddać mnie...

– Nuże, Kopciuszku, kto teraz zwycięży?! Zakpiłem z ciebie, wiążąc czerwoną wstążkę, zakpiłem z ciebie w jeszcze inny sposób, nigdy już. nie czułabyś radości posiadania, gdyby przyszło ci leżeć obok mnie! Wszystko, co by zaszło między nami byłoby bólem samym którego wzniosłość okupiłoby twoje obrzydliwe pragnienie równości, Kopciuszku...

No i masz za swoje Kopciuszku... Przyszłe wieki wzniosą mi ołtarz, ale wielbić będą twoją bezcielesność, twoją władzę nad mężczyzną, powodującą, że toczy dla ciebie krew, nie żądając w zamian dla siebie niczego. A ty, w bólu niespełnionych pragnień chcąc być wartą tej całej pompy, wymyślonej dla ciebie wespół z twoimi ogłupionymi towarzyszkami, ujęta w sidła, w części przez siebie sporządzone, pozostaniesz na pustej drodze bez wyboru. Kto wie, może czasem znajdziesz satysfakcję w swoim cierpieniu i to będzie jedyną twoją pociechą... Ujmij więc białą chustę okręconą wokół dzbana, zarzuć ją na swoje włosy, przysypane piaskiem, a ja tracąc resztę swojej krwi, poczuję wreszcie, że mimo wszystko, kosztem śmierci, jednak zwyciężyłem ciebie, Kopciuszku...

Kobiety na bagnach latarni całymi. ściągały ogromne kamienie, z. których jakże wiele utonęło w topieli, zbudowały ołtarz, a wszystkie drzewa posadzone troskliwie wokół, zdobiły czerwonymi szmatkami, na ofiarę w kamiennej misie składając swoje obcięte piersi i odrąbane narządy męskie schwytanych jeńców, serca wrogów, mazały wargi kamiennej bogini krwią...

A Kopciuszek? Cóż znaczył tu Kopciuszek? Pewnego dnia opuścił bagna. i

wrócił do królewicza, któremu codziennie gotował jarzynową z makaronem i smażył kotlety schabowe panierowane, a raz w niedzielę, od święta brał królewicza za rękę i wiódł do świątyni, gdzie otoczeni rojem dziątek klękali w pokorze, a Kopciuszka wskutek licznych porodów zgrubiła talia ugięła się przed nieuchronną koniecznością kultu, gdy myśli, błędziły omijając starannie skamieniałe źródła bólu...

Jaka róża, taki cierń – jak mówiła święta księga Ła.

Potem żyli długo i szczęśliwie i ja tam byłem, miód i wino piłem, dobrze mi się działo, po brodzie kapało... Tylko do chrupiącej sałaty niepotrzebnie dodano sera feta.

*Zawsze fascynowały mnie baśnie. Może dlatego, że moi rodzice z pokolenia wychowanego między wojnami, uważali, iż dzieci nie należy karmić głupimi bajdami, zetknęłam się z nimi bardzo późno. Moja koleżanka szkolna miała duże trudności z nauką czytania i na wakacjach między pierwszą, a drugą klasą podstawówki otrzymała zbiorek baśni i płacząc musiała codziennie po dwie godziny dziennie dukać na głos kolejne teksty. Żeby jej to zajęcie umilić, moi rodzice kazali mi jej towarzyszyć i słuchać, czy na pewno czyta, a nie na przykład bawi się lalkami. Stąd może bierze się sceptyczne nastawienie do treści baśni, poszukiwanie „dziury w całym”, a jednocześnie przekonanie, że dorośli treść tę spreparowali tak aby oszukać dzieci. Stąd moje „wersje” rozmaitych wątków baśniowych. Nie ukrywam, że spośród tych wątków, najciekawszy wydawał mi się wątek Kopciuszka, przy czym, może przez przekorę, zawsze byłam po stronie sióstr Kopciuszka, którym mamusia w imię ich dobra przycinała stopy do z góry założonego ideału.*

*Niniejsze opowiadanie posiadało trzy wersje zakończenia i żadne nie do końca mnie zadowalało. Teraz też jestem niezadowolona, ale muszę się wreszcie go pozbyć, żeby przestać myśleć o siostrach Kopciuszka.*

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

# Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki  
w dobrej cenie

[www.rw2010.pl](http://www.rw2010.pl)